



Pradziadek Zygmunt Gloger

Rozmowa z Magdaleną Zawidzką-Kwiatkowską

Grzegorz Kowalski (GK): Jaki był stosunek do dorobku Zygmunta Glogera w Pani rodzinie? Jak zwykła Pani postrzegać swojego pradziadka?

Magdalena Zawidzka-Kwiatkowska (MZ-K): Na co dzień się nie mówiło o nim jako o kimś, kto był bardzo ważny. Ale i tak w oczywisty sposób, prywatnie, rodzinnie był dla nas bardzo ważny odkąd pamiętam. Bardzo byliśmy z tego powodu dumne, z przyjemnością sięgałyśmy do pamiątek, które były wzruszające, które mówiły nam o nim bardzo wiele. Jego listy nie dość, że były bardzo zabawne, bo on miał wspaniałe poczucie humoru, zbliżały nas do niego po prostu, miałyśmy często potrzebę rozmawiania o naszym Pradziadku z innymi. Nie na zasadzie chwalenia się, ale podczas wizyt, gdy ktoś nas odwiedzał, to był cudowny temat. Nie każdy w rodzinie ma kogoś takiego. To był, moim zdaniem, nie tylko inteligentny, mądry, wykształcony, ale także naprawdę dobry człowiek. Jego zainteresowanie innymi ludźmi, życiem – we wszelkich jego przejawach – było nieprawdopodobne. Mało kto chyba – ówczas, ale także dziś – interesuje się tym, co się dookoła niego dzieje tak naprawdę, w tak głęboki i aktywny sposób. Gloger zaś był tak zainteresowany wszystkim, co dotyczyło człowieka, że wykorzystywał każdą okazję, by powiększyć swoją wiedzę w tym zakresie. Pasjonowali go zwykli ludzie: ich życie codzienne, tradycje, obyczaje, to, jak się ubierali, w jakim mówili języku, jak mieszkali; . Ciekawe, że swoje obserwacje prowadził gdzie i kiedy tylko mógł. Na przykład pisał do przyjaciela, Tymoteusza Łuniewskiego, jadąc do jego majątku w Korytnicy: proszę cię, żebyś poznał

jakąś babę, która zna pieśni, bo chciałem to spisać. Robił to często jakby mimochodem, podczas zwyczajowych wizyt, obok codziennych spraw. Nie marnował żadnej okazji. Musiał się w związku z tym bardzo mobilizować, organizować. To trudno sobie wyobrazić bez telefonu, faksu, kopiarki; nawet zwykły list musiał wtedy być przez gońca, a potem wóz pocztowy najpierw na stację, skąd jechał on potem pociągiem. Gdy dziadek wybierał się z wizytą na przykład do Łuniewskiego, musiał najpierw zamówić konie do Łochowa, dalej podróżował koleją. Organizował to wszystko i jechał tyle kilometrów, żeby posiedzieć tam tylko parę godzin, omówić sprawę, która go interesowała. Na przykład chciał wypytać jakiegoś rolnika o to, jak używa się jakiegoś przyrządu rolniczego – do *Encyklopedii staropolskiej*. Przez lata, przez całe życie pracował w ten sposób.

GK: A jaki człowiek – prywatnie – malował się z rodzinnymi przekazów o Zygmuncie Glogerze?

MZ-K: Wspaniały! Po pierwsze, wszystkim nam zawsze imponowało, że był tak nieprawdopodobnie pracowity, że zawdzięczamy mu taką pracę. Po drugie, wszystko to nie zostało dokonane kosztem rodziny i przyjaciół. Z listów Glogera, z jego biografii oraz rodzinnych wspomnień o nim wynika, że był to człowiek niezwykle ciepły, rodzinny, niesłychanie delikatny, wrażliwy. Interesujący się wszystkim, ale w tym wszystkim niezwykle ludzki! Kiedy w jednym z listów opisuje on podróż ze swą córką przez Warszawę, bo z żoną postanowili ją wysłać do Wizytek w Wersalu, Pradziadek pisze o tym z wyraźnym przejęciem, widać od razu, że trzymał pieczę nad losem córki z wielką miłością, ojcowską troską.

GK: Co zdaniem Pani ukształtowało Glogera w największym stopniu jako człowieka, badacza?

MZ-K: Zygmunt Gloger był wychowany już w domu z tradycjami inteligentnymi, od początku miał kontakt z wybitnymi postaciami XIX-wiecznej kultury. W domu Glogerów bywali ludzie nauki, pisarze, wydawcy, bibliotekarze, całe mnóstwo wspaniałych postaci. Jego rodzice, posiadający pokaźną bibliotekę, ogromną wagę przywiązywali do nauki, do wykształcenia swoich dzieci. To wszystko odgrywało ogromną rolę. Wydaje mi się, że właśnie ta kultura domowa była kluczowa w formowaniu się osobowości Glogera. Nawet to, że w ówczesnych dworach były instrumenty, na których domownicy

grali, śpiewając wspólnie stare pieśni. Myślę, że nawet ten czynnik wpłynął później na wykształcenie się jego pasji, miłości do pieśni ludowej. Miłość do przeszłości w jej wszelkich przejawach została mojemu pradziadkowi zaszczipiona bardzo, bardzo wczesnie, wiązała się po prostu ze sposobem życia jego bliskich, stanowiła spoiwo rodziny, wytwarzała więzi. Wówczas nawet kontakty towarzyskie służyły często także wymianie wiedzy. W każdym razie dbano o wykształcenie dzieci, o ich wychowanie.

GK: Czy ma Pani poczucie, że Pani babcia oraz mama jakoś kontynuowały tradycje domowe, wychowawcze, rodzinne Zygmunta Glogera?

MZ-K: Moja Mama uważała, że odpowiednie wykształcenie i wychowanie jest niesłychanie istotne. Była prawdziwą patriotką. Pamiętam taki epizod: jakaś kuzynka mojego ojca zachęcała go bardzo do emigracji do Australii, ponieważ było tam bardzo mało kobiet, a on miał cztery córki. A moja mama powiedziała twardo: „Wykluczone! Jestem Polką i tu jest moje miejsce”.

Myślę, że można to wszystko porównać z mottem zapożyczonym przez Glogera od Andrzeja Maksymiliana Fredry: „Obce rzeczy wiedzieć dobrze jest, swoje obowiązek”. Tradycja domowa kształtowała nas, w naszej rodzinie była czymś niezbywalnym. Na przykład moi rodzice nigdy nie użyli przy mnie ani jednego wulgarnego słowa. Nie mówię już o autentycznych wulgaryzmach, nie przypominam sobie nawet słów uznawanych za ordynarne. Pamiętam natomiast z dzieciństwa, że jeśli, kłócąc się z siostrami, powiedziałyśmy jedna na drugą „świnia”, to byłyśmy za to karane. Przez moje usta w związku z tym również nigdy nie przeszedł ani jeden wulgaryzm. To, co słyszę współcześnie na ulicy, razi mnie potwornie, czuję niekiedy, że urodziłam się nie w tej epoce. Kiedyś mówiło się: „szlachectwo zobowiązuje”, ale myślę, że odnosi się to też do innych sytuacji; kiedy się było wychowywanym w jakiejś tradycji i przyswoiło się pewne wartości, to jest się zobowiązanym, by to kontynuować, a nie zarzucić.

Natomiast o swoich rodzicach moja Mama mówiła bardzo mało. Wiem, że Dziadek był lekarzem, a babcia Janinka wychowywała dzieci i prowadziła dom. Podobnie jak jej mąż, zmarła stosunkowo wczesnie (i tragicznie – zarwał się balkon, na którym stała). Babcie łączyła z Mamą mocna więź, przyjaźń. Mama zawsze przedstawiała ją jako bardzo ciepłą, troskliwą osobę.

GK: Kiedy i od kogo dowiedziała się Pani o swoim dziadku: kim był, czego dokonał?

MZ-K: To, że zawsze była we mnie miłość do spuścizny Zygmunta Glogera i zainteresowanie przeszłością rodziny zawdzięczam głównie mamie. Jako małe dziecko w ogóle się tym nie interesowałam. Na nasze dziedzictwo zaczęłam zwracać uwagę w wieku szkolnym; od czasu do czasu, gdy mama coś wyciągnęła i zainteresowała nas jakimś listem czy pamiątką. No bo czym można zainteresować dziecko? Dzwoneczkiem loretańskim na przykład. Czy jakimś albumem, fotografiami. Historia Dziadka w szczegółach jeszcze nas na tym etapie nie interesowała. Ziarno zostało jednak zasiane. Później kończyłam Liceum i Gimnazjum Sióstr Niepokalanek w Szymanowie, nie było mnie kilka lat w domu. Oczywiście w czasie weekendów czy świąt nadarzało się wiele okazji, żeby o Dziadku porozmawiać. Mama chciała koniecznie coś pokazać bliskim, coś omówić, wiele się wówczas dowadywałam. Ale tak naprawdę zaczęła mnie rodzinna przeszłość angażować po osiągnięciu dorosłości, na pewno po trzydziestym roku życia, gdy byłam mężatką i matką. Okazję po temu stworzył upływ czasu: wiele naszych pamiątek rodzinnych trzeba było oddać do renowacji czy do oprawienia, by nie niszczały, więc nawiązałam kontakt z Muzeum Narodowym. Poznałam specjalistkę od konserwacji papieru oraz haftu, zasięgnęłam wielu informacji w sprawach technicznych, wreszcie zaczęła mnie wciągać historia tych przedmiotów. To wszystko sprawiło, że zaczęłam gromadzić różne informacje o Zygmuncie Glogerze (na przykład wycinki z gazet dotyczące dziadka), coraz bardziej interesować się tą postacią.

Osobną kwestią było dla mnie odkrycie w sobie „genetycznego spadku” po przodkach. Nigdy nie miałyśmy jako służba zdrowia (lekarki) dużych pieniędzy, prawdę mówiąc nasze zarobki były po prostu śmieszne. Więc całe życie dorabiałam, szyjąc różne przedmioty, niekiedy nawet z artystycznym zacięciem: przedmioty dekoracyjne, ale użyteczne, na przykład abażury, bardzo dużo różnych rzeczy. Po czasie zaczęłam myśleć, że moja odwieczna skłonność do robót manualnych, to że jestem pedantyczna, niesłychanie dokładna i precyzyjna, ale także ta skłonność do sztuki, do estetyzmu nawet w codziennej pracy – to wszystko mam właśnie po dziadku. Przyszło mi to do głowy podczas oglądania jego rysunków, które cechuje niezwykła precyzja, wręcz pedanteria. I to jego rozmiłowanie we wszelkich przedmiotach rękodzielniczych... Mama zresztą też była przecież lekarzem, ale także bardzo ładnie rysowała, pięknie haftowała. Być

może te zdolności zawsze istniały w naszej rodzinie. I zawsze, mimo okoliczności, były jednak pielęgnowane.

GK: A jak to się stało, że Pani mama została lekarzem, zaś Pani później poszła w jej ślady?

MZ-K: To także poniekąd tradycja rodzinna. Ojciec mojej mamy, Jan Kozubowski, był lekarzem i jego dwaj bracia także. Poza tym moja mama nadawała się w stu jeśli nie w dwustu procentach do bycia lekarzem. To był taki doktor Judym w spódnicy. Z poświęceniem podchodziła do wszystkich pacjentów, myśmy we cztery, jako córki, miały do mamy wielokrotnie pretensje o to, że ma ona więcej czasu dla pacjentów niż dla nas. Pacjent był na pierwszym miejscu, pacjenci ją uwielbiali, bo ona się nimi zajmowała od czubka głowy po palce u nóg. Kiedy pacjent potrzebował interwencji innego specjalisty, mama umawiała go telefonicznie i wysyłała z listem. Mama była internistą i fizykoterapeutą, poza tym miała ogromne osiągnięcia w balneologii [dziedzina medycyny poświęcona badaniu właściwości leczniczych wód; co ciekawe, pasjonowała ona także Zygmunta Glogera, który często pisał o właściwościach wód, np. w Druskiennikach – red.].

GK: Medycyna nie była chyba jednak Pani jedyną pasją?

MZ-K: Ja od początku wiedziałam, że muszę coś studiować. To być może też należało do tradycji rodzinnej, nie było u nas takiego zwyczaju, żeby po skończeniu szkoły nie iść na studia. Ale ponieważ nie mogłam się zdecydować, więc – żeby nie tracić czasu – poszłam najpierw do rocznej szkoły fizykoterapii, rehabilitacji i masażu, bo moja mama tam wykładała, ale to była tylko roczna szkoła. Potem poszłam na roczny kurs krawiecki, bo stwierdziłam, że lubię to robić, a nie mam dostatecznych umiejętności, wiedzy, choć miałam od dziecka zdolności manualne i uwielbiałam robótki różnego typu, uwielbiam nawet dotyk materiału. Okres studiów wspominam bardzo dobrze. To był cudowny okres w moim życiu, wówczas także najwięcej się bawiłam, byłam nawet kilka lat w zespole tańca. W pewnym sensie miałam za dużo zainteresowań, co mocno rozpraszało moją uwagę. Stwierdziłam na ostatnim roku, że tak naprawdę nie podchodzę do medycyny z wielkim entuzjazmem. Nie miałam inklinacji do zrobienia kariery naukowej, raczej do sztuki i rzeczy artystycznych – powinnam pewnie była pójść nie na akademię medyczną, ale na akademię sztuk pięknych.

GK: Znajdujemy się w Pani domu, na Saskiej Kępie, otacza nas wiele niezwykłych przedmiotów. Zgromadził je kiedyś i przechowywał w swych zbiorach Zygmunt Gloger. Jednak, nim dotarły one do współczesnej Warszawy, musiały pokonać długą drogę. Kiedy właściwie powstało to, co dziś można nazwać Pani domowym muzeum pamiątek rodzinnych?

MZ-K: Mogę odpowiedzieć na to pytanie bardzo konkretnie! To się zaczęło, gdy skończyłam trzydzieści lat, kiedy na tyle mnie zainteresowała kolekcja, że postanowiłam ją uporządkować. Jak już o tym wspomniałam, skontaktowałam się z Muzeum Narodowym w sprawie prac konserwatorskich, zaś z pomocą specjalistki z Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, gdy jego dyrektorem był Janusz Odrowąż-Pieniążek, zostały uporządkowane dokumenty piśmienne. Ona się wzruszyła tymi dokumentami do tego stopnia, że nie tylko je opracowała, ale jeszcze zdobyła specjalne teczki i specjalny papier, w którym mogłam to wszystko przechowywać. Nie wzięła ode mnie ani grosza. Przedtem u mojej mamy to było w różnych szafach, na półkach, rozproszone. Zaczęłam od zaprowadzenia jakiegoś porządku w eksponatach. W następnej kolejności uznałam, że będę je pokazywać wszystkim zainteresowanym. Mieliśmy wówczas większy dom i byłam w stanie zorganizować ekspozycję, podzielić tematycznie przedmioty, zrobić z tego swego rodzaju wystawę. Żałuję, że nigdy nie sporządziłam książki pamiątkowej, do której mogliby się wpisywać jej goście. Ostatnio postanowiłam naprawić ten błąd.

GK: Jak wyglądały losy tych eksponatów, skąd one właściwie pochodzą?

MZ-K: Są to wszystko pamiątki z majątku Glogera w Jeżewie zabrane przez jego córkę, Janinę, moją babcie, do Błonia, czyli do domu rodzinnego Kozubowskich [Janina Glogerówna wyszła za mąż za Jana Kozubowskiego – przyp. red.]. W ostatnich latach życia Glogera Jeżewo nieco podupadło, pradziadek z dorosłymi już dziećmi, Janinką i Stanisławem, przeniósł się po śmierci swojej matki do Warszawy. Mieszkał na Chmielnej 59, mieszkania 17 czy 14, nie pamiętam dokładnie. Chciałam odszukać ten odcinek, ale stoi tam chyba teraz Pałac Kultury. Odwiedzał jeszcze Jeżewo z dziećmi w czasie wakacji. W każdym razie pamiątkami jeżewskimi opiekowała się Janina Kozubowska, zaś moja mama wychowała się wśród nich w Błoniu i później przejęła pieczę nad nimi. Przedmioty, które można

tu oglądać, to rzeczy bardzo osobiste, które przechodziły z pokolenia na pokolenie w obrębie najbliższej rodziny.

GK: Czy pamięta Pani swe wrażenia, kiedy pierwszy raz odwiedziła pani Jeżewo, okolice Tykocina, miejsca w których żył i pracował Gloger?

MZ-K: Byłam tam w młodości dwa albo trzy razy, raz nawet z mamą – przy okazji poświęcenia pomnika Zygmunta Glogera w Łomży. Pamiętam, jak byliśmy w Tykocinie, odwiedziliśmy także Jeżewo. Chcieliśmy usytuować jakoś gdzieś dawne zabudowania, czyli kompleks dworski. Oczywiście śladu po dworze nie ma, ale jest resztką browaru i resztką lamusa, który wtedy jeszcze – a było to 20 albo 25 lat temu – stał bez porównania lepiej zachowany. Spotkaliśmy wówczas na drodze jakąś leciwą już babcię i zapytaliśmy ją, czy nie wie, gdzie ten dwór stał. A ona mówi tak: „Wiem, wiem, moja mama służyła we dworze, a ja jako dziecko bywałam tam” – i pokazała nam miejsce, gdzie teraz stoi szkoła, dosłownie dwa kroki od browaru i dwa kroki od lamusa.

GK: Czy w tamtych stronach funkcjonuje jeszcze jakaś pamięć o Zygmuncie Glogerze?

MZ-K: Już nawet miejscowi nie wszyscy wiedzą, kto to był Gloger. Byłam w tym roku w Tykocinie z moimi przyjaciółmi. Stwierdziłam, że muszę im Tykocin pokazać, tym bardziej że byłam już wtedy zaprzyjaźniona z Janem Maciejewskim, który nas oprowadził po synagodze, po muzeum, po całym miasteczku. Żona pana Maciejewskiego poprosiła mnie, żebym się spotkała z młodzieżą z miejscowego gimnazjum. Była to jedna klasa gimnazjalna i ja miałam im opowiedzieć o Glogerze. Wszyscy mieszkali w Tykocinie, jest biblioteka imienia Glogera, ulica imienia Glogera, jest także na miejscowym cmentarzu grobowiec rodzinny Glogerów. Szkolna młodzież nic jednak nie wie o swoim kraju. A Gloger całe życie mieszkał zaledwie 8 km od Tykocina.

GK: Jak ocenia pani funkcjonowanie spuścizny Glogera w Polsce, stan badań nad jego postacią?

MZ-K: Uważam, że wiele dokonano na tym polu, ale wydaje mi się, że ciągle za mało mówi się i robi. Na przykład Muzeum Etnograficzne nie

organizuje żadnych wystaw poświęconych Zygmuntowi Glogerowi. W Siedlcach była duża wystawa, ale już w Warszawie dzieje się wciąż niewiele, prawie nic. Cieszę się, że Uniwersytet w Białymstoku z Książnicą Podlaską oraz Stowarzyszenie „Stopka” w Łomży zajmują się dorobkiem mojego pradziadka i dbają o jego pamięć.

GK: Jak opisałaby Pani swój osobisty stosunek do przedmiotów, które nas otaczają, które pozostały ze zbiorów jezewskich Zygmunta Glogera?

MZ-K: Nawiązałam z nimi ogromną więź. Zwłaszcza z listami. Niektóre wzruszają mnie głęboko, przy niektórych się zaśmiewam w głos. Gloger był bardzo dowcipny. Zawsze ujmuje mnie niesłychanie także na przykład historia fotografii Kraszewskiego, którą pisarz przesłał Glogerowi, kiedy urodziła się jego córka Janinka, moja babcia. To wszystko opisuje Zygmunt w swoich wspomnieniach o Kraszewskim. Były całe lata, kiedy nie mogłam tego czytać głośno, bo wzruszałam się do łez. Podobnie na mnie działają ostatnie listy Aleksandry do Zygmunta z okresu narzeczeństwa. (Poniekąd to z zazdrości, że ktoś potrafi pisać tak dowcipnie, ciepło i mądrze.)

Te wszystkie rzeczy są u mnie tyle lat, że mogłam już na nie zobojętnieć. Właściwie nie powinny po takim czasie robić na mnie dużego wrażenia, mogłyby stać się zwyczajnym elementem wystroju. Jest jednak zupełnie inaczej i tak chyba pozostanie. Poza tym jeszcze jedno uczucie towarzyszy mi, gdy na nie patrzę, dotykam: uczucie zdumienia, autentycznego zdumienia, że wszystko to przetrwało tyle lat, tyle wydarzeń dziejowych, i teraz leży u mnie na półkach.

Cieszę się również, że udało mi się zapewnić im godziwe warunki. Wolę, żeby były póki co tutaj, pod moją opieką, niż stały zakurzone w jakimś magazynie, gdzie nikt nie będzie mógł ich oglądać. Mam nadzieję, że zainteresowanie spuścizną mojego pradziadka przetrwa w naszej rodzinie. Wśród niektórych młodych przedstawicieli naszej rodziny widać już załóżki tego zainteresowania, a wiem przecież z własnego doświadczenia, że prawdziwa pasja i poczucie więzi z przodkami to coś, do czego się dojrzewa, dorasta – wymaga to czasu.

*

Magdalena Zawidzka-Kwiatkowska – córka Anny Zawidzkiej, prawnuczka Zygmunta Glogera, mieszka na Saskiej Kępie w Warszawie.